OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁT

EXPRESS
WIECZORNY ILUSTROWANY.

ROK V. | ŁÓDŹ, WTOREK, 8 LUTEGO 1927 ROKU. | CENA NUMERU 20 GROSZY. | NR. 39

Promienie RX w rękach zbrodniarza.
Inżynier--wynalazca zamierza w szatański spcsób zgładzić męża swej kochanki.
Człowiek z pocentkowaną skórą w urzędzie śledczym.

Warszawa, 8 lutego.

Dziwny gość zjawił się wczoraj w urzędzie śledczym.

—Nazywam się Jan Lelewicz — oświadczył — przyjechałem przed paroma godzinami pośpiesznym pociągem ze Lwowa. Pragnę zasięgnąć porady profesorów oraz złożyć skargę u władz na mego prześladowcę.

Przed dyżurnym przodownikiem stał człowiek chudy, wynędzniały, jakgdyby po przejściu ciężkiej choroby. Rozpiął kamizelkę i koszulę.

— Spójrzcie, panowie, — rzekł — oto jak wygląda moje ciało.

Istotnie, na niezwykle ciemnej skórze można było odróżnić czarne punkciki. Odwinął rękaw — przedramię również było usiane centkami.

— To są ślady promieni RX, które wynalazł inżynier - elektrotechnik, kochanek mojej żony — ciągnął dalej lwowianin. — Od kilku tygodni jestem prześladowany przez tego nędznika.

Wskutek fatalnych warunków mieszkaniowych, zostaliśmy sąsiadami. Żona przeniosła się do mego rywala, ja zajmuję pokoik przez ścianę.

— Niemal co wieczór **słyszę**

wyładowanie iskier.

Promienie są niewidoczne, ale wyczuwam je wszystkiemi zmysłami. On chcę mnie zgubić. Sami panowie widzicie, do jakiego stanu doprowadził mój organizm.

— Podczas

piekielnych seansów

za ścianą szumi mi w uszach, miewam zaburzenia wzrokowe. Ciało me przebiegają drgawki, ręce drętwieją, odczuwam bezwład w nogach. Skóra zaczęła mi czernieć jeszcze przed Nowym Rokiem. Obecnie występują sine plamy. Straciłem na wadze szesnaście kilo

Funkcjonarjusze urzędu śledczego, nie czując się powołanymi do wnikania w tę tajemniczą sprawę, skierowali p. Lelewicza do dziekana wydziału elektrotechnicznego politechniki warszawskiej, prof. Mieczysława Pożaryskiego.

Aresztowanie morderców
ś. p. kuratora Stanisława Sobińskiego.
Są nimi dwaj studenci ukraińscy, bracia Wierzbiccy.

Lwów, 7 lutego.

Policja lwowska odstawiła dziś do sądu sprawców głośnego swego czasu morderstwa, popełnionego 19 października 1926 r. na osobie kuratora szkolnego ś. p. Stanisława Sobińskiego.

Jak słychać z kół, bliskich sferom policyjnym, od dłuższego czasu podejrzewano, że zamach został zorganizowany przez ukraińską tajną organizację wojskową i stwierdzono, że wmieszani są dwaj bracia, Michał i Iwan Wierzbiccy, studenci ukraińscy, którzy bezpośrednio po zbrodni wyjechali ze Lwowa.

W styczniu r. b., sądząc, że ślady czynu są dostatecznie zatarte, powrócili i wpadli w ręce policji, która miała już w ręku szereg dowodów ich winy. Nazwisko Michała Wierzbickiego powtarzało się w śledztwie kilkakrotnie, lecz ukrywał się on pod trzema innemi nazwiskami. Identyczność ustalono przy pomocy licznych fotografij.

Wierzbiccy przybyli do Lwowa w styczniu celem zorganizowania konspiracyjnej akcji przedwyborczej. Między innemi

miał być dokonany zamach na pocztę.

Policja wpadła na trop ukraińskiej organizacji wojskowej i aresztowała cały sztab w liczbie 11 osób, m. in. także byłego komendanta brygady armji ukraińskiej, Hołobińskiego. Skonfiskowano bogaty materjał, zawierający dowody akcji szpiegowskiej i terorystycznej.

Pogrzeb mikada.
Z okazji żałobnych uroczystości
obdarzono amnestją 20.000 więźniów.

Tokio, 7 lutego.

Dziś odbędzie się pogrzeb cesarza japońskiego. W pogrzebie weźmie udział około 10.000 osób, w tem 4.000 żołnierzy marynarzy i urzędników. Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się o 9-ej wieczór i stosownie do tradycji przy świetle pochodni.

Z okazji pogrzebu swego ojca, cesarz japoński ofiarował półtora miljona jenów na cele dobroczynne i wydał amnestję, z której skorzystało 20 tys. przestępców

Wielu przestępcom, skazanym na karę śmierci, zamieniono tę karę na dożywotnie więzienie. M. in. skorzystał z takiego amnestyjnego ułaskawienia zabójca japońskiego prezydenta ministrów — Hara. Amnestja nie objęła żadnego wypadku, polegającego na zamachu przeciw tronowi.

Londyn, 7 lutego.

Chociaż właściwe uroczystości pogrzebowe zaczynają się dopiero o 12-ej godzinie w nocy, już teraz wielotysięczne tłumy zalegają ulice Tokio. Nad ciałem zmarłego cesarza wygłosi przemówienie obecnie panujący, w którem wyniósł zasługi zmarłego monarchy. O północy orszak pogrzebowy wyrusza do Osaka, położonego o 30 klm. od Tokio. Uroczystości pogrzebowe zakończą się dopiero o świcie.

Zamach na policjanta w razurze
Dzielny posterunkowy stoczył walkę z awanturnikiem, uzbrojonym w rewolwer.

Warszawa, 8 lutego.

Do zakładu fryzjerskiego Natana Szabasona przy ul. Grójeckiej nr. 73, wszedł wczoraj około 7 wiecz. podchmielony mężczyzna i zwróciwszy się do subjekta Altera Goldberga, rzucił krótko:

— Ogolenie!

Goldberg szybko namydlił twarz klijenta i w mig go ogolił.

Gdy następnie zbliżył się do gościa by ogolić go po raz drugi, ten zerwał się z fotelu wyciągnął z kieszeni rewolwer i krzyknął do przerażonego subjekta:

— Marsz pod ścianę!

Struchlały fryzjer wykonał rozkaz. Wówczas awanturniczy klijent zaczął mustrować fryzjera. W razurze rozlegała się komenda:

— Do mnie! W tył! Padnij!

Pod grozą lufy rewolweru Goldberg wykonywał wszystkie rozkazy aż wreszcie znalazłszy się blisko drzwi, drapnął na ulicę i wysłał stojącego przed razurą brata swego Hersza po policję.

Wkrótce na miejsce przybył st. post. Kaczmarski. Wpadł z rewolwerem do zakładu, krzycząc:

— Ręce do góry!

W tejże chwili huknął strzał.

To opryszek strzelił, celując w pierś dzielnego policjanta. Strzał chybił. Nim zuchwały napastnik zdołał wystrzelić po raz drugi, st. post. Kaczmarski wykręcił mu rękę i zapobiegł dalszym strzałom. Zaczęła się walka.

Policjant po wielu trudach zdołał wypchnąć przeciwnika na ulicę i tam japońskim chwytem unieszkodliwił.

Łódź postępem i techniką
Konkuruje z Ameryką.



RÓŻNYCH DOKTORÓW
I PROFESORÓW
W NEW — JORKU RADZI WIELU,
HUMANITARNIE
CHCĄC ZNIEŚĆ MĘCZARNIE
NA ELEKTRYCZNYM FOTELU.

GDY O TO CHODZI,
POWINNI Z ŁODZI
BRAĆ WZÓR AMERYKANIE:
U NAS PRAKTYCZNA
„ŚMIERĆ ELEKTRYCZNA",
BO SPADA — NIESPODZIANIE!

W. D.

Za zerwaniem
stosunków dyplomatycznych z Rosją
jest większość gabinetu angielskiego.

Landyn, 7 lutego.

Jeżeli oznaki nie mylą, zwyciężyła w gabinecie angielskim grupa ministrów, która jest za energicznem postępowaniem przeciw kantończykom i zerwaniem stosunków dyplomatycznych z rządem sowieckim.

Przeciwnicy sowietów mają większość w gabinecie. Organ robotniczy „Daily Herald" oświadcza, że ci sami ludzie, którzy przy pomocy osławionego listu Zinowjewa zwyciężyli przy poprzednich wyborach, chcą i dziś zapomocą odpowiedniego manewru przedłużyć swoje mandaty.

7 ziemian--fałszerzy testamentu
zasiadło na ławie oskarżonych w Przemyślu.

Przemyśl 8 lutego.

Na ławie oskarżonych zasiadło 7 osób ze sfer ziemiańskich i przemysłowych pod zarzutem sfałszowania testamentu ś. p. Pawła Tyszkowskiego, właściciela wielkiego klucza majątków w powiecie dobromilskim.

Zmarły w roku 1920 ś. p. Tyszkowski testamentem datowanym z 19 października 1912 r.

zapisał cały swój majątek Akademii Umiejętności w Krakowie.

W roku 1925 rodzina zmarłego przedstawiła sądowi okręgowemu w Przemyślu inny testament z datą późniejszą 5 stycznia 1915 r., wedle którego uniwersalnym spadkobiercą zmarłego miał być rzekomy kuzyn jego, Antoni Tyszkowski.

Po jakimś czasie wyszło na jaw, że drugi testament został sprytnie sfałszowany z inicjatywy dzierżawcy dóbr Andrzeja Niezdropy, sąsiada ś. p. Tyszkowskiego.

Niezdropa dowiedział się, że zmarły napisał istotnie w Wiedniu w r. 1915 drugi testament, który jednak został zniszczony.

Do spółki wciągnął krewnych testatora i wybrał na uniwersalnego spadkobiercę dzierżawcę dóbr Antoniego Tyszkowskiego, którego ze zmarłym łączyło tylko nazwisko.

Szwagier Antoniego T. ziemianin Haszlakiewicz oraz inż. Konopka, dyrektor krakowskiego Banku Kredytowego podjęli się finansowania całego przedsiębiorstwa.

Fałszerze byli swego tak pewni, że z góry podzielili się spodziewanym łupem. Niezdropa zapewnił sobie u przyszłego spadkobiercy wieś z klucza ś.p. Tyszkowskiego, Haszlakiewicz trzy folwarki, Konopka wieś i 100 morgów lasu itp. Fałszerstwo jednak wydało się i cała szajka fałszerzy zasiadła na ławie oskarżonych.

Sensacyjne rewelacje lotników sowieckich.

—:—

Aeroplany i aparaty chemiczne

jadą do Rosji jako maszyny rolnicze.

—:—

Nędza moralna i materjalna sowieckich oficerów.

Lotnicy sowieccy, pilot Piotr Timoszczuk i obserwator podpułk. Kazimierz Klim, którzy przed kilku dniami wylądowali pod Łuckiem, po internowaniu ich oświadczyli, że opuścili się na teren Polski wyłącznie, aby uciec z **Bolszewji i oddać się w ręce władz polskich.** Obaj lotnicy twierdzą, że wobec potwornych stosunków, jakie panują w Rosji, szczególniej w sferze wojskowej, za nic nie powrócą do Sowietów i gotowi są siedzieć w Polsce chociażby do końca życia w więzieniu, lub ponieść śmierć, niżli wracać tam z powrotem.

Opowiedziawszy o wprost niewiarogodnych warunkach i stosunkach, jakie panują w „raju bolszewickim“, lotnicy sowieccy oświadczyli, że pobierając pensję od 250 do 300 rubli miesięcznie, nie mogli jednak prowadzić odpowiedniego życia, bowiem na pierwszy rzut oka **duża pensja nie wystarcza na konieczne wydatki.** W dodatku, jeżeli się weźmie pod uwagę pijaństwo i morfinowanie się, rozprzestrzenione wśród wojskowych, to ich duże kłopoty pieniężne nie są tak dziwne. Wieczny brak zaufania i podejrzliwość, oraz denuncjacje stale jednych przeciwko drugim doprowadzają wielu do obłędu chorób nerwowych i samobójstw. **Wieczne ukrywanie się przed najbliższem otoczeniem a nawet przed rodziną ze swemi zamiarami jest nie do zniesienia.**

Opowiadając o sprawach militarnych Rosji sowieckiej oficerowie piloci zaznaczają, że największą uwagę bolszewicy skupiają na **powiększeniu i udoskonaleniu swej floty powietrznej,** która w przyszłej wojnie ma odegrać pierwszorzędną rolę. **Samoloty i gazy to bronie specjalnie pieczołowicie pielęgnowane w Rosji.**

Instruktorami i kierownikami całej floty powietrznej oraz specjalistami od wyrabiania trujących gazów są technicy niemieccy. Na terenie Rosji sowieckiej jest już bardzo **dużo laboratorjów chemicznych z trującemi gazami**, a w rozmaitych miastach większych widzieć można **najdoskonalsze samoloty najnowszej konstrukcji niemieckiej, częściowo opancerzone,** lub uzbrojone w kulomioty i bomby oczekujące w ukryciu w hangarach na swą misję...

„Tutaj nie popełniono żadnej defraudacji“!

—:—

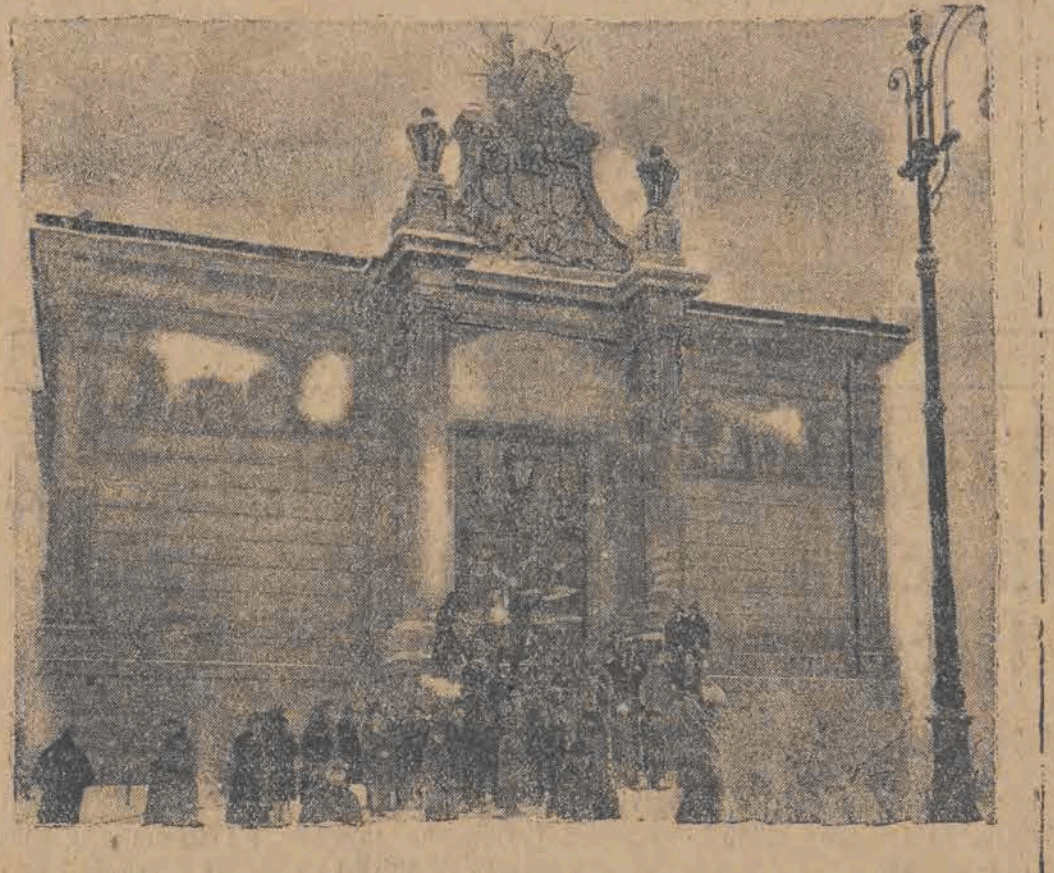
Ilustracja bezrobocia.

W jednym z dzienników budapeszteńskich pojawiła się niedawno wiadomość, że w pewnym szpitalu kasjerka dopuściła się defraudacji. W skutek pomyłki podano jednak nazwę innego szpitala.

Na drugi dzień w owym szpitalu poczęły się gromadzić tłumy pań, pragnących objąć miejsce po owej kasjerce. Urzędnicy szpitala stracili głowę, gdyż tłum kandydatek wzrastał z każdą chwilą.

Nie było innej rady, jak wywiesić na bramie olbrzymi napis: „Tutaj nie popełniono żadnej defraudacji!“.

Awantura artystyczna w Krakowie.



W ubiegłym tygodniu głośna była w Łodzi awantura w Miejskiej Galerji Sztuki, urządzona przez grupę młodych malarzy. Obecnie przyszła kolej na Kraków. Przed kilku dniami grupa młodych artystów malarzy urządziła demonstrację uliczną w związku z ogłoszonym bojkotem Tow. przyjaciół sztuk pięknych. Gmach pałacu sztuk pięknych — którego fotografję podajemy — oblepili malarze nalepkami z napisami w rodzaju: „Tu grypa i zaraza!“, „Ostrożnie, tu cholera!“, „Dyrekcja trędowata!“, „Precz z trupiarką“, „Nie wystawiacz kiczów, jeśli ci zdrowie miłe“, „Oddaj budę!“ i t. p.

Najpopularniejszy „nieboszczyk“ Londynu.

Wielki, wspaniały słoń hinduski, zakończył życie.

Żałoba w londyńskim ogrodzie zoologicznym.

Indiarani już nie żyje! Indiarani — dusza londyńskiego ogrodu zoologicznego, ulubieniec całej publiczności — zdechł. Przez kilka dni wszystkie pisma londyńskie opisywały śmierć tego słonia, a co dziwniejsze, w kilku z nich pojawiły się nekrologi, poświęcone pamięci „zmarłego“. Indiarani nie był bowiem przeciętnym słoniem i dlatego jest zrozumiałe, że ci, którzy go znali, bardzo są zmartwieni jego zgonem. Miał on zaledwie trzydzieści pięć lat a zdechł widocznie wskutek zakażenia krwi, jakkolwiek przyczyny tej choroby nie można było zbadać.

W roku 1920 przybył do Londynu maharadża Beharu, olśniewając europejczyków przepychem swego bogactwa. Między innemi, przywiózł on ze sobą największego i najpiękniejszego ze swych słoni i podarował go londyńskiemu ogrodowi zoologicznemu. Indiarani ważył pięć i pół tysiąca kilogramów, trąba zaś jego mierzyła dwa i pół metra długości. Tak pięknego okazu słonia dotychczas jeszcze nie było w Europie. Słoniowi towarzyszył hindus Said Ali.

Podług jego wskazówek urządzono dla słonia schronisko, które odpowiadało przyzwyczajeniom zwierzęcia,, dla bezpieczeństwa jednak otoczono je potężnemi ostrokołami. Cały rok pozostawał Said Ali w Londynie.

W krótkim czasie Indiarani wraz ze swym bronzowym przewodnikiem stali się największą atrakcją ogrodu zoologicznego. Indiarani miał umieszczony na swym potężnym karku aksamitny baldachim z trzema ławeczkami do siedzenia dla dzieci. Gdy uradowane dzieci śmiechem wyrażały swe zadowolenie, zwierzę radośnie trąbiło a jego poczciwe niebieskie oczy zaczynały błyszczeć, prosząc o cukier i inne łakocie. Lecz gdy Said Ali zawezwany przez księcia, wyjechał do ojczyzny, oczy Indiarani zaszły mgłą. Nowy dozorca słonia musiał się często uciekać do użycia szpicruty, by zmusić zwierzę do uległości.

Pewnego dnia słoń wogóle odmówił posłuszeństwa, nie chciał uklęknąć, uderzał dziko trąbą. Szczęśliwie ostrokoły wytrzymały napór jego potężnego ciała, bo mogłoby dojść do nieszczęścia. Cała dzikość hinduskiego słonia, znana z wielu opowiadań wyszła na jaw.

Wysłano depeszę do Behary. Z rozkazu księcia Said Ali ruszył w podróż do Europy. Natychmiast po przybyciu do Londynu pośpieszył do Indiarani.

Rozegrała się wzruszająca scena, gdy słoń ujrzał swego przewodnika. Z głośnym rykiem radości rzucił się do niego i jak posłuszny piesek, pokornie legł u jego nóg, głaszcząc go trąbą po twarzy i ciele. Said Ali, wzruszony, zaczął coś po hindusku szeptać do olbrzymiego ucha. Słoń w odpowiedzi po cichu trąbił. Następnie Said Ali skoczył na kark słonia i cichym okrzykiem rozkazał mu wieźć się po parku. Słoń radośnie wypełnił rozkaz.

Tylko na widok byłego przewodnika, słoń dostawał ataku szału. Wściekle rzucał trąbą, i dziko tupał nogami. Dzieci, jak dawniej, mogły spokojnie przejeżdżać się na grzbiecie słonia. Indiarani był pokorny, jak jagnię. Ale teraz już go niema. Jego wielką głowę z wspaniałemi kłami, zabalsamują. Ciało zaś jego zostało pochowane. Said Ali długo stał nad grobem Indiarani i płakał, jak po stracie kochanego dziecka.

Ulubienica Warszawy.



ZULA POGORZELSKA... właściwie wystarczyłoby powiedzieć po prostu Zula, a każdy wie odrazu, że to chodzi o najmilszą gwiazdę „Perskiego Oka“, o niezrównaną odtwórczynię kabaretowych piosenek, które Zula wykonuje z niedoścignionem wprost wdziękiem, temperamentem, humorem i tą swoją specyficzną pikanterją. Czy Zula Pogorzelska skarży się: „Ja się boję sama spać“, czy śpiewa „Valencia“, czy zapowiada: „Ta miła piła dziś i jest zalana“, czy oznajmia w najnowszej piosence: „Ja nie mam głosu“, albo też robi zabawną charakterystyczną pensjonarkę, zawsze wnosi ze sobą życie, wesołość i w jednej chwili nawiązuje kontakt z widownią.

Przeciw elektrycznemu krzesłu.

Niektórzy amerykańscy biologowie występują przeciw traceniu złoczyńców na krześle elektrycznem, albowiem ten rodzaj kary jest bardzo niehumanitarny.

Istnieje nawet przypuszczenie, iż prąd elektryczny obezwładnia tylko człowieka i nie zabija w nim życia.

Po pewnym czasie budzi się świadomość skazańca, a nieszczęśliwy ginie wskutek uduszenia w grobie.

Celem przeprowadzenia badań nad tą niewyjaśnioną sprawą, wydelegowano dwu amerykańskich biologów do nowojorskiego więzienia „Sing - Sing“.

W połowie lutego odbędzie się tam egzekucja trzech zbrodniarzy, więc uczeni będą mieli okazję do wypowiedzenia swej opinji.



W imieniu polskich robotników, pracujących od lat kilkunastu w Szwecji, a zwłaszcza osiadłych w większej liczbie w miejscowości Oskarström przy fabryce juty, przybył do Polski ich proboszcz ks. Wilhelm Meijerink, władający nieźle językiem polskim, z prośbą o pomoc materjalną. Wybudował on dla nich z trudem kościołek drewniany i skromną plebanijkę, przedstawione na naszem zdjęciu, ale radby jeszcze założyć szkółkę polską i umieścić siostry zakonne z Polski, któreby ją prowadziły i otoczyły opieką moralną tamtejszych polaków.



— Oni tam pewnie porządnie pobili tych sędziów...

— Nie... Tylko pierwsze uderzenie było śmiertelne, następne uderzenia były już nieszkodliwe.



— Więc pan powiada, że za jedną literę siedział pan aż pół roku?...

— No, tak... Byliśmy na weselu u Kapuścińskiego i troszkę się wypiło... Łajdacki wybił Kapuścińskiemu okno i to go kosztowało 2 złote, a ja mu wybiłem oko — i mnie to kosztowało 6 miesięcy więzienia.

Członkowie... „Klubu Ekstazy"

szukali zapomnienia i upojenia w kokainie i morfinie

—:o:—

Nieszczęśliwe ofiary zabójczego nałogu nie mogą żyć bez narkotyków.

Łódź, 8 lutego.

Wczorajszy „Express" doniósł o wykryciu w Warszawie klubu kokainistów. Obecnie otrzymaliśmy w tej sprawie następujące ciekawe szczegóły

W Warszawie ostatniemi czasy rozpleniły się tak zwane „kluby morfinistów", gdzie nieraz w bardzo eleganckich lokalach w śródmieściu zbierają się przedstawiciele towarzystwa, szukające podniety, ukojenia i zapomnienia w narkotykach.

Do urzędu śledczego nadeszła poufna wiadomość, że jeden z takich klubów mieści się przy ulicy Ogrodowej w domu nr. 5 na pierwszem piętrze w eleganckiem, przeznaczonem na ten cel mieszkaniu Władysława i Marji Rozenowiczów. Ustawione na obserwacji czaty widziały, jak do mieszkania Rozenowiczów **podjeżdżają samochodami i idą pieszo jakieś wybladłe o chorobliwym wyglądzie osoby.**

Gdy o godzinie 9 wieczorem już nikt po pewnej pauzie do mieszkania nie wchodził, zaciekawieni wywiadowcy urzędu śledczego **zapukali do mieszkania Rozenowiczów, lecz nikt im nie odpowiadał.** Po pewnej chwili oczekiwania policja otworzyła drzwi i weszła do lokalu, gdzie w słabo oświetlonem mieszkaniu **kilka osób hasało w jakimś dziwnym obłędnym tańcu, wydając niesamowite okrzyki.**

Obok leżeli na tapczanach, rozłożonych na posadzce **ludzie wybladli w pomiętoszonych ubraniach, wydający chorobliwe okrzyki. Byli oni nieprzytomni i pogrążeni jakby w głębokim śnie.** Wśród nich kilka osób nieprzytomnych, a między nimi **ormianin nazwiskiem D. i jakiś chińczyk.** W kącie lokalu „urzędował" niejaki Berek Oberkowicz z zawodu farmaceuta, **który robił zastrzyki i dawał wąchać leżącym morfinę.**

Mimo wszelkich wysiłków, nikogo z leżących nie udało się postawić na nogi **gdyż wszyscy po wąchaniu kokainy, nie mogli się podnieść i byli zupełnie bezwładni, a twarze ich wykrzywione robiły wrażenie obłąkanych.**

Jak się okazało następnie farmaceuta Berek, sam zawzięty morfinista, specjalnie dostarczał morfinę do mieszkania Rozenowiczów dla wszystkich innych nałogowych morfinistów, którzy byli stałymi klijentami i gośćmi „klubu ekstazy". Berkowicza i Rozenowiczów oraz gości przewieziono do urzędu śledczego, gdzie udało się ich przyprowadzić do przytomności i zbadać.

Są to ludzie schorowani, którzy oświadczają, że bez morfiny i innych narkotyków nie będą mogli żyć. I rzeczywiście dla postawienia **ich na nogi** trzeba **było dać im ponownie maleńką dawkę morfiny.**

Sędzia śledczy po zbadaniu członków klubu morfinistów zwolnił ich, jak również (za poręczeniem) pp. Rozenoczów i Berkowicza.

Gdy serce pragnie

a miłość burzy krew

dozorca może znaleźć czasem zakochaną parkę ..w budce straganiarskiej

Łódź, 8 lutego.

Ruchla W. i Moszek Z. byli zaręczeni. Ale było to dawno. Dwa lata temu.

P. W. pragnął pojąć za żonę p. Ruchlę. jednakże warunki materjalne nie pozwalały mu na założenie ogniska domowego.

Narzeczona pozostała więc w Warszawie u swej ciotki, zaś pan Z. pracował w dalszym ciągu w Łodzi.

Młodzi prowadzili ze sobą ożywioną korespondencję. Przed trzema dniami pan Z. otrzymał od swej narzeczonej dłuższy list.

Panna Ruchla pisała mu, że tęskni i pragnie go ujrzeć.

— Przyjedź w niedzielę—prosiła go.

Narzeczony nie mógł się oprzeć pokusie spędzenia jednego dnia ze swą wybraną i wyjechał do stolicy.

Ponieważ ciotka panny Ruchli nie przyjęła go zbyt gościnnie, p. Moszek oświadczył narzeczonej. iż nie zamierza przebywać w jej mieszkaniu.

Udali się więc na przechadzkę.

A wieczorem dozorca jakiegoś domu na placu Nędza znalazł ich aż za blisko przytulonych do siebie w budce straganiarskiej.

W komisarjacie spisano im protokuł.

Zona i dzieci

katami obłąkanego męża i ojca.

Zamożny gospodarz wsi Godów w powiecie puławskim (woj. lubelskie) 58-letni Antoni Kwietniewski, zachorował przed paru tygodniami umysłowo. Rodzina niezbyt się tem przejęła. Zamiast sprowadzić lekarza — zamknięto Kwietniewskiego w ciemnej, nieopalonej komorze, gdzie leżąc na garści słomy, karmiony pożywieniem, nie lepszym nad to, jakie daje się trzodzie chlewnej, schorowany starzec z dnia na dzień traci siły i przeklinając rodzinę, dla zapewnienia bytu której lat tyle w pocie czoła pracował, oczekuje śmierci.

Czasem, gdy straszny paroksyzm szału schwyci chorego dzikie, niesamowite ryki wydobywają się z komory, trwożąc małe, opowiadaniami o djabłach karmione wiejskie dzieci, które w panicznym strachu, zdaleka okrążają chatę Kwietniewskich.

A w komorze szaleje nieszczęsny starzec, raniąc sobie ciało o drzwi i ściany to znowu tarzając się po zbrukowanej kałem ludzkim podłodze.

Żona i dzieci „leczą" wtedy chorego, wlewając do komory kilka wiader wody, która w krótkim czasie w lód się zamienia.

Starzec trawiony gorączką, nękany głodem i przejmującym zimnem kona powolnie w komorze, która za wstęp do piekła może być uważana.

Co robi gmina by nieludzkie, zwierzęce wprost znęcanie się nad nieszczęśliwym ukrócić?

Pani Strzelecka № 1

pewnego dnia skonstatowała, iż na świecie egzystuje także i

pani Strzelecka № 2.

—:o:—

Pan Strzelecki twierdzi, iż ożenił się po raz drugi, bo był... pijany.

Łódź, 8 lutego.

Państwo Strzeleccy stanowili przykładne małżeństwo. Sąsiedzi nieraz brali ich za wzór kochającej się pary, która nigdy się ze sobą nie kłóci.

I nagle — po czternastu latach wspólnego pożycia p. Józef Strzelecki opuścił swą żonę. Dlaczego? Tego nikt nie wiedział.

Dlaczego? Tego nie mogła zrozumieć jago żona.

Przez dłuższy okres czasu p. Strzelecka nie wiedziała, co się z nim stało.

Przypuszczając, iż został zamordowany lub też padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku, zwróciła się do policji, lecz władzom nie udało się wpaść na jego ślady.

Minęło kilka miesięcy.

Pewnego dnia pani S. dowiedziała się od znajomych, iż mąż jej nie opuścił Łodzi i mieszka z jakąś niewiastą.

Wskazano jej nawet dokładny adres wobec czego niezwłocznie postanowiła sprawdzić tę wiadomość.

Okazało się, iż jej informator nie mylił się. Pan Strzelecki rzeczywiście mieszkał z jakąś młodą osobą, z którą nawet... ożenił się.

Porzucona małżonka nie próbowała z nim wszczynać pertraktacji.

Bigamista został przez policję aresztowany i wczoraj znalazł się na ławie oskarżonych Sądu okręgowego.

Na sprawie Strzelecki przyznał się iż wziął ślub z p. Walentyną Zimką w kościele św. Józefa.

— Byłem pijany — tłumaczył się przed sądem. Gdy obiecałem jej, że się z nią ożenię, a później, gdy już wszystko było przygotowane do ślubu, nie mogłem się cofnąć...

Sąd skazał go na rok i 6 miesięcy domu poprawy.

Złapał „doliniarza" podczas „roboty"

i z przerażeniem stwierdził, iż jest to jego syn, który okradł go przed trzema laty.

—:o:—

Ojciec przyprowadził sam syna—złodzieja do komisarjatu.

Łódź, 8 lutego.

Eugenjusz Mańkowski, syn zamożnego wieśniaka z pod Łowicza, był dla rodziców prawdziwą udręką.

Hulaka, awanturnik i próżniak włóczył się stale po rozmaitych wioskach, nie myśląc o uczciwej pracy.

Pewnego dnia, korzystając z nieobecności rodziców, ogołocił niemal zupełnie ich mieszkanie.

Ojciec — po powrocie do domu — dowiedział się o kradzieży od swych sąsiadów i niezwłocznie powiadomił o powyższem policję.

Wyrodnej latorośli nie udało się jednak odszukać.

Od tego czasu minęło trzy lata.

Onegdaj p. Mańkowski przybył interesownie do naszego grodu.

Po dniu spędzonym w towarzystwie kupców zbożowych, wybrał się wieczorem na spacer.

Przechadzając się samotnie przy ulicy Zgierskiej w pewnej chwili stwierdził, iż jakiś jegomość sięgnął niedyskretnie do jego kieszeni.

Chcąc przyłapać złodziejaszka na gorącym uczynku, pozwolił mu wyciągnąć portfel.

„Doliniarz", przypuszczając, iż manipulacja się udała, zamierzał się ulotnić, lecz w tej chwili otrzymał potężny cios pięścią w głowę, który powalił go na ziemię.

Wieśniak odebrał mu swoją własność i począł wzywać policję.

Przyjrzawszy się z bliska twarzy złodziejaszka, Mańkowski cofnął się w przerażeniu.

Poznał bowiem swego syna.

— Ojcze — zawołał doń Eugenjusz — ratuj mnie, nie wołaj policji! Zwrócę ci wszystko, com ci kiedyś ukradł.

Wieśniak był jednak nieubłagany.

Pochwycił syna za kołnierz palta i sam odprowadził go do komisarjatu, gdzie zameldował o kradzieży, dokonanej przed trzema laty, oraz o zajściu na ulicy Zgierskiej.

Naogół na rynku złodziejskim stagnacja.

Łódź, 8 lutego.

P. Szyfrę Pomeranc (Rzgowska 18), właścicielkę budki z towarami na Rynku Leonarda nieznani sprawcy okradli wczoraj na sumę 300 złotych.

⁂

Z mieszkania **Chany Goldnicht** (Magistracka 19) skradziono wczoraj rozmaite rzeczy wartości 900 złotych.

⁂

Stanisławowi **Michałakowi** skradziono z mieszkania przy ul. Napiórkowskiego 42 garderoby wartości 180 złotych.

Prawdziwa manufaktura za fałszywe kolczyki.

Znów ofiara „brylanciarzy"

Łódź, 8 lutego.

P. Antoni Lesiak, zamieszkały przy ulicy Emilji 5 padł wczoraj ofiarą oszustów „brylantowych".

Gdy przechodził ulicą Cegielnianą, niosąc pod pachą sztuczkę manufaktury jacyś dwaj jegomoście zaproponowali mu kupno kolczyków za bajecznie niską cenę.

P. Lesiak nie miał jednak przy sobie gotówki. „Sprzedawcy" zgodzili się również na handel zamienny i za towar wartości 220 złotych wręczyli mu kilka kolczyków, które okazały się bezwartościowe. Oszustów ściga policja.

Koniec świata!

—:—

Nawet i to kradną.

Łódź, 8 lutego.

Ubiegłej nocy nieznani sprawcy skradli dwie tablice ostrzegawcze przy torze kolejowym przy ulicy Mostowej.



— A co przedstawia pański obraz?.
— To jest sfinks...
— Sfinks?... Cóż to znaczy?...
— To jest to, czego niema w rzeczywistości, czyli kobieta, która w ciągu tysiąca lat nie przemówiła ani słowa...



Spór w rodzinie.

Pan Kazio kochał pannę Herminę. Panna Hermina kochała pana Kazia. Kochali się więc oboje i miłość ich była wzajemna.

Oczywiście, że w takiej sytuacji jest tylko jedno radykalne, wypróbowane wyjście — ożenek.

Nie należy z tego, co wyżej napisałem, sądzić, że to jedyne wyjście jest najlepsze. Wręcz przeciwnie!.. Jeżeli chodzi o mnie — sądzę, że najgorsze!

Ale ponieważ idąc po linji najmniejszego oporu młodzi, kochający się ludzie wstępują zazwyczaj na ślubny kobierzec — nic więc dziwnego, że nasi nowi znajomi — pan Kazio i panna Hermina — poszli właśnie po tej linji i wzieli ślub.

Nic w tem niema nadzwyczajnego, albowiem nieszczęścia takie są dziś na porządku dziennem i jeżeli tak tragicznych wypadków nie ogłasza się dotychczas w pismach w rubryce „Pogotowie i policja" to chyba tylko w obawie przed teściowemi i ich sprostowaniami.

Ale wróćmy do rzeczy, czyli do ślubu.

Pobrali sie — i niech im łoże małżeńskie lekkiem będzie!...

Ale w miesiąc po ślubie wybuchła pierwsza awantura.

Pan Kazio chciał kupić dwukonny powóz, pani Hermina sprzeciwiła się jednak temu kategorycznie i uważając, że konie, zjadające siano, są już dziś niemodne, nalegała koniecznie, by mąż jej kupił zamiast powozu auto z końmi parowemi.

— To za wielki ambaras!... — bronił się pan Kazio.

— Nie pojadę powozem! — oświadczyła pani Hermina.

— Musimy mieć powóz!.. — krzyczał pan Kazio.

— Połamię całą karoserję! — groziła pani Hermina.

Awantury powtarzały się codziennie. Pan Kazio starał się wytłumaczyć żonie, że auto sprowadza nieszczęśliwe wypadki, że ciągle są kłopoty z maszynerją, z protokółami i benzyną, a pani Hermina dowodziła, że konie robią nieporządki, że konie szybko zdychają, że konie zjadają dużo owsa i że wogóle życie jego nic nie będzie warte skoro nie będą mieli auta.

Upłynął tydzień, miesiąc, wreszcie rok cały...

Małżonkowie kłócili się w ciągu tego całego czasu, ale po roku doszli jakoś do zgody.

Nie kupili ani auta, ani powozu, lecz zamiast tych środków lokomocji pan Kazio przyniósł pewnego dnia do domu... wózek dziecinny. **Ku - ku.**

Zebraków już nie będzie!..

Magistrat łódzki podejmuje energiczną walkę z żebractwem na ulicach Łodzi

i ma zamiar wybudować specjalne hale zarobkowe dla tych żebraków, którzy są zdolni do pracy.

Łódź, 8 lutego.

Pewien cudzoziemiec, bawiący przejazdem kilka dni w Łodzi opowiadał mi potem o swych wrażeniach w następujący sposób:

— Zadziwija mnie tylko jedna rzecz.. Żebranina na ulicach Łodzi.. Wie pan, że dla mnie była to rzecz bardzo miła, albowiem nasunęła mi cały szereg refleksji i wspomnień z mej wędrówki po Wschodzie...

Coś podobnego można spotkać tylko w krajach egzotycznych....

Ale mam wrażenie, że w Europie to jakoś nie wygląda ładnie...

Każdy łodzianin przyzna chyba mojemu rozmówcy, że miał racje.

Żebracy na ulicach Łodzi to prawdziwy kwiatek egzotyczny, który niewiadomo dlaczego jest tak pieczołowicie hodowany, jakgdyby doprawdy komuś zależało na tem, by zatamować europeizację naszego grodu.

Każde miasto ma swoją specyficzną nędzę. W każdem mieście jest pewien zakątek, gdzie głód tańczy charlestona z najskrajniejszą biedotą.

I nikomu nie wpadnie na myśl, aby walczyć z ogólną nędzą mas drogą uchwał magistrackich lub projektów instytucji filantropijnych.

Ale obowiązkiem miasta jest przedewszystkiem dbałość chociażby o zewnętrzny wygląd ulic.

A każdy przyzna, że rozplenione po ulicach Łodzi żebractwo nie daje miastu splendoru.

Poza tem kwestja żebraniny w Łodzi różni się zasadniczo od podobnych zagadnień w innych miastach.

W Łodzi żebranina urosła do rozmiarów usankcjonowanego niemal zawodu.

Łódzki żebrak jest natrętny, arogancki, uparty i mściwy.

Jeżeli mu nie dać jałmużny, obrzuci cię obelżywemi wyrazami i tak długo będzie nalegał, aż przechodzeń wyprowadzony z równowagi ucieka do bramy, by się od niego odczepić.

Ale z drugiej strony zdajemy sobie sprawę z tego, że walka z żebractwem nie może iść

po linji nakazów policyjnych

i przymusowego sprowadzania opornych do komisarjatów.

Gdyby tak było, nie ulega wątpliwości, że wszystkie więzienia łódzkie należałoby oczyścić dla żebraków.

A przecież jałmużna dla tych najnieszczęśliwszych jest jedynym sposobem zdobycia środków na najnędzniejsze utrzymanie.

Nikt nie ma moralnego prawa odbierać kalekom chleb tylko z tej racji, że wyciągnięta ręka szpeci ulice miasta.

Dlatego też z całem uznaniem podkreślić należy poczynania komisji skarbowo - budżetowej, która w związku z debatą nad preliminarzem budżetowym m. Łodzi uchwaliła szereg rezolucji i wniosków, zmierzających do opanowania plagi żebractwa w Łodzi.

Na najbliższem posiedzeniu wnioski te mają wejść pod obrady plenum Rady Miejskiej.

Komisja radziecka wysunęła między innemi konieczność podjęcia racjonalnej walki z tym objawem i proponuje w tym celu

rozpoczęcie budowy hal zarobkowych, w celu dania w nich zatrudnienia tej kategorji żebraków, która zdolna jest do pracy.

Gdyby zamierzenia komisji budżetowo - skarbowej zostały zrealizowane, żebracy zniklibyna zawsze z ulic Łodzi i jednocześnie uległby radykalnej zmianie los nędzarzy łodzkich i ich rodzin.

Nie wątpimy, że tak pilna sprawa zostanie w czasie możliwie najkrótszym pomyślnie załatwiona, a wówczas wilk będzie syty i owca cała.

— rst. —

Felcia wygrana w karty.

Na Solcu pod latarnią, „ciągnęli" do dziewiątki.

Niezwykłą partję zakończył bój na noże i kastety.

Z Warszawy donoszą:

W restauracji przy ulicy Solec 20, pięciu mężczyzn popijało piwo. Rozmowa obracała się dokoła jakiejś Felci, na którą właśnie oczekiwano.

Była już północ, gdy niewiasta zjawiła się wreszcie.

Podeszła do jednego z gości, Kazimierza Strycka (3-go Maja 16) i poufale objęła go za szyję.

Przeciwko tak oczywistym objawom sympatji zaprotestował inny młodzieniec, Stefan Konracki (Solec 32). Wynikł spór, zresztą zupełnie jałowy, bowiem obaj kawalerowie mieli jednakowe prawa do względów panny.

Przezorny właściciel restauracji, widząc, że zanosi się na walną rozprawę, wyprosił całe towarzystwo za drzwi.

Ktoś rzucił myśl, by losem pokierowały karty. Kompanja zatrzymała się pod latarnią.

— Ciągniemy do dziewiątki? — zaproponował Konracki.

— Zgoda!

Kilkakrotnie talja przechodziła z ręki do ręki. Zdenerwowanie grających udzieliło się widzom, którzy utworzyli dwa obozy.

— Stawiam butelkę wódki na Kazia —odezwał się jeden ze świadków i nagle zamilkł, bowiem Konracki rzucił na chodnik dwie karty. Były to siódemka i dwójka. Koniec niezwykłej partji powitano przekleństwem. Zakotłowało się pod latarnią, znienacka wybuchła walka.

W ruch puszczono kastety i noże.

Policja aresztowała trzech łobuzów: Henryka Dziubę (Solec 67), Jana Michalskiego (Solec 65) i wspomnianego Kazimierza Strycka.

Do szpitala Dzieciątka Jezus przewieziono Stefana Konrackiego oraz Antoniego Skulskiego (Solec 103).

Taksówka--powodem zamachu samobójczego

studenta medycyny uniwersytetu warszawskiego.

Z Warszawy donoszą:

We wtorek 1 b.m. w domu Akademickim przy ulicy Grójeckiej Nr. 39 pozbawił się życia przez powieszenie student medycyny, 25-letni Dominik Dąbrowski.

Okoliczności towarzyszące samobójstwu były nie jasne i nastręczyć mogły dość daleko idące przypuszczenia, choćby ze względu, że denat zostawił kartkę tej treści: „Zabił mnie Stanisław Bryński i sam dlatego wyjechał".

Bryński zajmował pokój razem z Dąbrowskim. Rzeczywiście Bryński na krótko przed tragicznem samobójstwem Dąbrowskiego wyjechał z Warszawy.

Oczywiście już w pierwszej chwili po obejrzeniu pokoju i zwłok samobójcy, policja doszła do wniosku, że jakiś zbrodniczy czyn ze strony kolegi Dąbrowskiego jest wykluczony.

Wiadomem było natomiast, że Dąbrowski miał narzeczoną, którą bardzo kochał. Przypuszczano więc początkowo, iż mogły tu wchodzić w grę jakieś czynniki natury uczuciowej, które stały się powodem samobójstwa. Wyjazd Bryńskiego mógł mieć z onemi „przyczynami natury uczuciowej" jakiś związek.

Były to jednak ciągle przypuszczenia, które okazało się zupełnie błędnemi.

Samobójstwo miało zupełnie inne podłoże. Mianowicie Dąbrowski, syn niezamożnych rodziców, chcąc własnemi siłami zdobyć fundusze na naukę i utrzymanie — wszedł z kolegą swym Bryńskim w spółkę, razem nabyli samochód i zaczęli eksploatować go jako dorożkę. „Przedsiębiorstwo" to jednak spodziewanych zysków nie przyniosło, a przeciwnie zaczęło dawać duże deficyty. Ku wielkiej rozpaczy Dąbrowskiego wypadło mu kilka razy zwrócić się do rodziców po pożyczki.

Na domiar złego Dąbrowski dowiedział się, że Bryński wbrew umowie udział swój (40 proc.) sprzedał szoferowi Niedzielskiemu (Towarowa 60). Dąbrowski uważając to za ruinę, tak się niepowodzeniem przejął, że odebrał sobie życie.

Wojna z befsztykami i kiełbasą

Słoneczna kuchnia — ideałem higjenistów.

Od czasu powstania teorji witamin medycyna zmienia powoli swój pogląd na sprawe odżywiania.

Co było uważane kilka jeszcze lat temu za odżywcze i godne polecenia, uchodzi obecnie za zbyteczne obciążanie żołądka.

Ideałem stała się „kuchnia słoneczna", czyli inaczej mówiąc — potrawy podawane w stanie surowym.

Pod hasłem reorganizacji kuchni powstało w Paryżu towarzystwo „Soleil", w którego skład wchodzą lekarze i hygjeniści.

Towarzystwo to podjęło walkę z dotychczasowymi sposobami przyrządzania jadła, które skraca życie ludzie i staje się powodem wielu chorób i degeneracji narodów.

A zatem — precz z befsztykami, wędlinami, puszkami konserwowanych ryb i mięsa, pogasić trzeba ogniska kuchenne, wyrzucić wszelkie zapasy zwierzęcego tłuszczu i jadać surowe potrawy!

Podstawowem daniem słonecznej kuchni jest sałata przyrządzana na 1000 sposobów: mleko, owoce i chleb bez drożdży dają doskonały posiłek i nie niszczą organizmu.

Zwolennicy „słonecznej kuchni" rozpoczeli energiczną agitację w imię uzdrowienia ludzkości.

Zbrodniczy magnetyzer uśpiwszy ofiarę

zmuszał ją do popełniania zbrodni.

W Monachjum uwięziono niejakiego Adama Montaga, człowieka wielorakich fachów, w gruncie zaś rzeczy ciemne i kryminalne indywiduum.

Montag obdarzony jest niezwykłą siłą magnetyzerską i z wielką łatwością potrafi wywierać sugestywny wpływ na ludzi o słabszej woli.

Dar ten wyzyskiwał Montag w sposób zbrodniczy.

Uśpiwszy swe ofiary nakazywał kradzieże, włamanie, rabunki, kobiety spychał w bagno życia i wyzyskiwał bezlitośnie zasugerowane przez siebie jednostki.

Czerpiąc z tego dochody, żył na stopie magnackiej, ubierał się u najwykwintniejszych krawców, mieszkał w pierwszorzędnych hotelach i rozrzucał pieniądze.

Policja zwróciła jednak uwagę, iż wokół Montaga gromadzą się ludzie podejrzanej moralności, którzy go otaczają niezwykłym kultem i drżą przed jego nakazami. Niełatwą jednak sprawą było zdemaskowanie zbrodniarza.

Ofiary przez niego opętane nie dawały żadnych wyjaśnień, a złapane na przestępstwie brały w zupełności winę na siebie.

Jeden z detektywów dotarł jednak do mieszkania Montaga i aresztował go w chwili, gdy zbrodniczy magnetyzer uśpił jedną z licznych swych wielbicielek i nakazywał jej obrabowanie pewnego wyższego oficera.

Sposób na samochody

Swiatełka na plecach piechurów.—Trąby sądu ostatecznego.

W Londynie zdarza się codziennie mnóstwo wypadków samochodowych. Zaczęto poważnie radzić, jak zapobiec nieszczęściom. Jeden z wielkich dzienników zorganizował specjalną na ten temat ankietę.

Z pośród licznych odpowiedzi notujemy dwie najbardziej pomysłowe.

Lampki różnokolorowe.

Każdy przechodzeń — proponuje pierwszy wynalazca — powinien mieć dwie lampki; na piersiach czerwoną, na plecach zieloną. W ten sposób szofer wieczorem będzie widział zdaleka, że ktoś idzie przez jezdnię, i w jakim idzie kierunku.

Trąby.

Głupi pomysł — twierdzi drugi korespondent — daleko lepiej nakazać prawnie wszystkich piechurom, by nosili ze sobą syreny i trąby jaknajbardziej krzykliwe, wydające ze siebie naj bardziej przerażające głosy. Gdy ludzie zechcą przejść z chodnika na chodnik, taka rozlegnie się orkiestra, że choćby szofer nie chciał, samochód sam się zatrzyma, ogłuszony.

Gdyby ten drugi projekt wprowadzić w życie — zauważa redakcja, toby już nie było wcale wypadków samochodowych, bo zostaliby w Londynie tylko ludzie całkiem głusi, a tych nie jest zno wu tak wielu.

Kaprys miljonera

Na mankiecie spisał testament.

P. Ethel Holley, kwiaciarka z Cincinnati, została niespodziewanie miljonerką. Do tego przyczynił się bardzo wydatnie tamtejszy sąd, który uznał za ważny testament, napisany przez pewnego dziwaka na mankiecie.

Romans uszczęśliwionej dziewczyny rozpoczął się w ten sposób, że pewien ubogo odziany jegomość stale kupował od niej kwiatek. W ciągu wielu miesięcy rozmawiali oni z sobą, a dzięki temu młoda dziewczyna dowiedziała się, że ów jegomość jest kawalerem, mieszkającym w skromnym domu koszarowym. Kiedyś powiedział on jej na wet, że uczyni ją wyłączną spadkobierczynią.

Zapowiedzi te dziewczyna traktowała jako żart, to też pewnego razu powiedziała mu ona, że jeśli chce zrobić ten zapis, niech go najlepiej zrobi zaraz. Jegomość nie dał sobie tego powtarzać, wyjął pióro i skreślił testament na mankiecie, oczywiście papierowym. Testament co do formy całkowicie odpowiadał wymaganiom prawa.

Po wielu tygodniach dziewczyna dowiedziała się przypadkiem, że jegomość umarł.

Jakie było jej zdumienie, gdy pewnego dnia zawiadomił ją rejent, że jest w posiadaniu testamentu na mankiecie, czyniącym ją jedyną spadkobierczynią. Że jednak spadek wynosi z górą miljon dolarów, krewni testatora wystąpili ze skargą sądową; trzeba będzie tedy czekać na rozstrzygnięcie sądowe.

Sąd, jak wiemy, uznał dokument na mankiecie za ważny, to też biedna kwiaciarka została niemal cudem miljonerką.

JULJAN STARSKI.

DAMA W CZARNEM DOMINIE

ZAGADKA PSYCHOLOGICZNO-KRYMINALNA

20

Obie kobiety — Zubkinowa i Raja— znały się od dzieciństwa i niemal jednocześnie rozpoczęły „karjerę" u Osipowa. Potem wyszły zamąż i rozłączyły się na dłuższy okres czasu. Głafira owdowiała w dwa lata po ślubie i za pieniądze, które otrzymała w spadku po mężu, założyła sobie elegancki dom schadzek.

Mąż Rai zmarł znacznie później i zostawił ją z dzieckiem. Od tej chwili aż do czasu, kiedy obie przyjaciółki zetknęły się znowu w Wilnie, życie Rai było osłonięte tajemnicą. Nawet Głafira mało wiedziała, co jej koleżanka w ciągu tych lat robiła.

Raja niechętnie opowiadała o tych czasach i bardzo się denerwowała, gdy ją ciekawa Zubkinowa w tej materji nagabywała. Musiała przeżyć jakąś poważniejszą tragedję, gdyż zestarzała się w tym okresie niezwykle, okulała na jedną nogę i — straciła syna — jedynaka którego bardzo kochała.

Z tym synem właśnie było coś „nieczystego". Raz mówiła, że umarł na tyfus plamisty, drugi raz znowu — że go tramwaj przejechał.

Zublinowa węszyła jakąś skandaliczną historję, snuła tysiące najohydniejszych przypuszczeń i podejrzeń, wysilając cały swój spryt, by swą przyjaciółkę jakoś „załapać" i dowiedzieć się prawdy. Raja była jednak bardziej od niej kuta i chytrze omijała wszystkie zasadzki.

— Zamordowała synka, nieinaczej — myślała Głafira, spoglądając na złą twarz Rai. — Cóż innego mogłaby przede mną ukrywać?

Z Wilna przyjechały do Łodzi. Tu „ciocia" wynajęła mieszkanie na Południowej, postarała się o dziewczynki i zaprowadziła interes, przynoszący jej bardzo poważne zyski.

Przyjaciółce swej płaciła jakąś lichą tygodniówkę. Miała w niej zą to wierną służebnicę i powiernicę w interesach.

Dom „cioci" Głafiry rozwijał się z każdym dniem. Odwiedzali go coraz bogatsi goście, czasem nawet z najwytworniejszych sfer łódzkich. Doszło do tego, że Zubkinowa podwyższyła dziewczętom „gażę" i dawała im lepszy wikt.

— Niech mają dziewczynki... — mówiła do Rai — Sprawują się dobrze, więc należy im się wdzięczność... Pamiętasz jak Osipow był z nas zadowolony? Skąpy był, jak szatan, a ciągle nam dokładał do tygodniówek.

— Pamiętam, pamiętam — mruczała Raja, kuśtykając po kuchni — powinnaś jednak te dziewuchy więcej ostro trzymać... Ta Salka jest niezła dziewczyna, przynosi dużo zarobku, ale staje się coraz więcej nieznośna... Kocha się w tym wysokim szatynie i zaczyna lekceważyć innych gości...

— Nic nie szkodzi... To jest bardzo bogaty chłop i płaci tyle, co dziesięciu innych...

— Głupstwa pleciesz... A co zrobisz jak ci Salkę zdmuchnie z przed nosa? Innej na jej miejsce tak prędko nie dostaniesz...

— Zdmuchnie? — zaniepokoiła się „ciocia" — Dlaczego?

— Mówisz jak dziecko. A dlaczego zdmuchnął cię twój Zubkin? Bo się w tobie kochał... Ten szatyn kocha się także w Salce...

— Więc sądzisz, że się z nią ożeni? Nie, wydaje mi się to nieprawdopodobne... Jest za bogaty, a zresztą ona się kocha w nim, ale czy on w niej — nie wiem...

— Poco ma się ożenić? Dzisiaj — to nie tak jak dawniej. Nie ożeni się, ale weźmie ją na stałą kochankę, wynajmie jej pokój i — dziewczyna stracona...

„Ciocia" przyznała słuszność wywodom przyjaciółki i postanowiła zwrócić baczniejszą uwagę na swą pupilkę. Kilka razy miała z Salką „poważne rozmowy", zmierzające ku zohydzeniu w oczach zakochanej prostytutki rodu męskiego w ogólności, a owego szatyna — w szczególności.

Odnosiło to bardzo wątpliwy skutek co przyprawiało Zubkinową o wielkie zmartwienie.

Dziewczyna przytakiwała coprawda słowom swej chlebodawczyni, lecz można było po jej minie poznać, że nie bierze sobie tego zbyt poważnie do serca.

— Dobrze, dobrze, ciociu... Święta racja.. Ale dzisiaj jest niedziela, będą goście, a jestem jeszcze nieubrana... Do chodzi godzina ósma...

Mówiąc to, wybiegła do swego pokoju, by dokończyć tualety. Ema — dragon pomagała jej w przypiekaniu włosów, a Kazia szperała w kuferku wśród stosu sukienek.

— Co dzisiaj włożysz, Salka?

— Sama nie wiem... Nie mogę się zdecydować..

— Może tę niebieską z żorżetty?

— Nie... On woli różową...

Masz więc różową...

O godzinie dziewiątej dziewczęta były już ubrane i ufryzowane. Ponieważ gości nie było jeszcze widać zasiadły do preferansa, którego zaczęły jeszcze przed dwoma dniami.

— Sześć czerwone — licytowała się Kazia.

— Siedem pik — odpowiadała Ema.

— Bez atu...

Grały z jaką godzinę, gdy u drzwi wejściowych rozległ się dzwonek. Raja wypełzła z kuchni, by otworzyć, a „ciocia" wpadła jak bomba do pokoju.

— Dziewczynki, schować karty! Goście są!...

— W kurytarzu rozległy się męskie głosy.

— Czy panienki wolne?

— A jakże, a jakże — informowała Raja. — Proszę dalej...

Zubkinowa zapaliła wszystkie światła. W pokoju przyjęć zrobiło się jasno.

— Proszę zdjąć płaszcze, panowie, i zająć miejsca przy stole... Zaraz dziewczynki przyjdą...

Mężczyźni, śmiejąc się i dowcipkując, rozglądali się ciekawie dokoła.

(D. c. n.).

Praca w Ameryce

przynosi dochód, ale nie wytwarza żadnych nabytych praw.

—:—

W Ameryce świadectwa i dyplomy

nie mają praktycznego znaczenia.

Wartość pracy w Ameryce ceni się nietyle wedle jej jakości, ile według jej wydatności Kto potrafi w jednym dniu zrobić więcej równowartościowych rzeczy, ten wygrał. Dlatego ogromną cenę ma tu przedewszystkiem energja i inicjatywa, pomysłowość w organizacji, skracającej okres pracy, więc także potaniającej jej produkt. Umiejętność wysoka szkoła, szczególna akuratność wykonania idą dopiero w dalszym szeregu warunków powodzenia. Jeżeli ktoś wynajdzie sposób takiego porannego rozwożenia np. lodu po domach, że cała procedura skończy się o godzinę wcześniej niż zwykle, ten z pewnością trafił na żyłę złota, która w krótkim czasie uczyni go miljonerem. Kto dany proces produkcyjny potrafi skrócić o jeden dzień, ten buławę miljardera ma już jakgdyby w portfelu. Na tem polega cała organizacja pracy w Ameryce.

Zaczynać od niczego, t. j. od zera centów i kończyć na miljonach to amerykańska reguła. Powiększać tylko odziedziczoną i już gotową fortunę to wyjątki. Kto do Ameryki przybywa z odpowiedniemi siłami fizycznemi, z energją, wiarą w siebie i zdolnością oszczędzania, ten prędzej czy później zdobędzie tam solidne podstawy życiowe.

Praca w Ameryce przynosi dochód ale nie wytwarza żadnych nabytych praw. **Zarówno najniższej kategorji robotnik kopalniany, jak najwyższy dyrektor techniczny czy komercjalny mogą być w każdej chwili wydaleni z pracy czy biura, jeżeli zarząd uzna ich pracę za niedostatecznie wydatną i nierentowną** Kontraktów żadnych niema. Każdy musi tu odnawiać swój kontrakt co dzień na nowo. Każdy może być każdego dnia wydalony z pracy, bez żadnego prawa do odszkodowania.

Umowa najmu pracy odnosi się z reguły tylko do takiej jednostki czasu, według jakiej praca w danej gałęzi jest płacona. Więc wynosi najwyżej **jeden dzień.** W niektórych jednak przemysłach, gdzie szczególniej wysoko kwalifikowana praca płacona jest nie według dni, ale według godzin roboczych, wydalenie z pracy może nastąpić już po jednej lub 2-ch pierwszych godzinach pracy.

Ten system sprawia, że **w Ameryce nie mają żadnego praktycznego znaczenia żadne oficjalne ani prywatne świadectwa i rekomendację, mogące dowodzić kwalifikacji pracobiorcy do danej pracy.** Pracę otrzymuje się w Ameryce tylko według wrażenia, jakie się wywarło na pracodawcy i według tego, co się samemu o swoich kwalifikacjach powiedziało.

Jeżeli **więc** ktoś zgłasza się np. jako chemik analityk chemiczny i zrobi ogólne wrażenie korzystne, płacodawca zapowiada mu, że godzina pracy kosztuje tyle a tyle i każe go zaprowadzić do laboratorjum. Tu odrazu dają mu do zrobienia jakąś analizę nie dla próby, lecz z toku roboty wykonywanej. I przybysz albo wykona tę pracę w normalnym czasie, albo jej nie wykona. W pierwszym wypadku zatrzymają go, gdyby nie miał nawet świstka papieru na dowód, że wogóle coś w chemji rozumie, w drugim wyleci, chociażby nosił nawet na plecach tobołek pełen najdumniejszych dyplomów i świadectw.

O wszystkiem rozstrzyga **efekt pracy. Nikt się nie pyta o przeszłość pracującego.** Czy urodził się w dobrej czy w złej familji, czy siedział w kryminale czy nie siedział, nikogo to nic nie obchodzi. Jeżeli zrobił swoje dobrze i prędko jest dobry, jeżeli nie, jest zły i koniec. **Nikt w Ameryce nie ciągnie za sobą swojej przeszłości jak długiego ogona.** Ona jest zapisaną w protokułach jakiejś policji albo jakiegoś sądu lub nie jest zapisana nigdzie. Stanie się to aktualnem, gdy okaże się potrzeba uzupełnienia tych zapisek. Dlatego też „a fresh start in life" **zaczynanie nowego życia** — jest w Ameryce na porządku dziennym, nikogo nie dziwi i przeważnie udaje się dobrze.

Psy przewodnikami ociemniałych.



?) W Bydgoszczy oddano do rozporządzenia ociemniałym inwalidom specjalnie wytresowane do ich oprowadzania po mieście psy. Powyżej dajemy szereg zdjęć fotograficznych, świadczących, że psy bardzo zręcznie wywiązują się ze swego zadania. Na pierwszem zdjęciu widzimy psa, zatrzymującego przed jezdnią swego ociemniałego pana. Drugi obrazek przedstawia psią kuchnię, na której kucharz warzy dziennie kilka cetnarów strawy dla swych czworonożnych pensjonarzy. Na trzecim obrazku widzimy psa, schodzącego po drabinie z 20-funtowym w pysku ciężarem. Czwarte zdjecie przedstawia znanego na bruku poznańskim sprzedawcę gazet, ociemniałego inwalidę, nazwiskiem Bercandy, wraz z otrzymanym przezeń

Największa ohyda XX-go wieku

Miljon niewolników Abisynji.

Potomkowie jeńców wojennych i niesolidni dłużnicy sprzedawani po 5—35 talarów.

Liga Narodów zwróciła się do rządu abisyńskiego z żądaniem, aby zniósł w swym kraju niewolnictwo i obdarzył wolnością miljon nieszczęśliwych ludzi, którzy pędzą życie w najstraszliwszych warunkach.

Żądanie mocarstw europejskich przyjęto z oburzeniem, a premjer abisyński Vittaurari Afta Giorgis, doradca królowej szef konserwatywnego stronnictwa, wystosował do Ligi Narodów ostrą notę w której protestuje przeciw mieszaniu się Europy do wewnętrznej polityki Abisynji i motywuje swą stanowczą odmowę obawą rewolucji.

— Miljon biednych ludzi pozostałoby bowiem bez chleba, a ziemia nie byłaby uprawiana albowiem szlachetnemu Abisyńczykowi nie wypada pracować.

Niewolnicy abisyńscy zwani w tamtejszym języku „gabar" dzielą się na dwie kasty.

Do pierwszej należą jeńcy wojenni i ich potomkowie.

Abisyńczycy są bowiem wojowniczym narodem i znają się na rycerskości. Natomiast druga kasta niewolników traktowana jest gorzej od zwierząt. Rekrutuje się ona z niesolidnych dłużników.

Jeśli Abisyńczyk narobi długów i nie może ich spłacić, wtedy wierzyciel ma prawo pojmać go w niewolę i tak długo w niej trzymać, aż zapłaci dług.

W mieście Deria odbywają się targi na niewolników. Cena zaś ich waha się od 5 do 35 talarów.

Dzieci zrodzone w niewoli nie są własnością rodziców lecz ich panów.

Z tego więc powodu młode i zdrowe kobiety przedstawiają największą wartość i zmuszane są do macierzyństwa.

Targ w Deria jest jedną z największych ohyd ludzkości.

Z wszystkich stron kraju spędzają tam niewolników zakutych w łańcuchy.

Z powodu braku pomieszczeń biedacy ci koczują na placach, urządzonych podobnie jak w Europie targowiska na bydło, a czuwa nad nimi straż uzbrojona w sieczną i palną broń. Za lada nieposłuszeństwo wymierzają nieszczęśliwym ludziom plagi.

Jeśli który z niewolników zachoruje, a choroba trwa czas dłuższy, zabijają go bez litości aby pozbyć się ciężaru.

Dziewczyna-krokodyl

20-letnia Czeszka pokryta grubą łuską.

W północnych Czechach żyje 20-letnia dziewczyna nazwiskiem Anna Wondarczek, która jest przedmiotem wielkiego zainteresowania świata lekarskiego.

Dziewczyna ta, napozór normalnie rozwinięta, posiada dziwną budowę skóry, przypominającą łuskę krokodyla.

Zgrubienia skóry szczególnie silnie występują na brzuchu i na plecach i są wielkie, iż nie pozwalają dziewczynie zgiąć się ani schylić.

Panna Wondarczek nie odczuwa jednak swego kalectwa, do którego przywykła od urodzenia.

Cieszy się nawet, iż dzięki swej „urodzie" wywołała zainteresowanie i wyjedzie do Paryża, zaproszona przez paryski wydział lekarski.

Rozwiązanie zagadki Fausta.

Lekarz francuski twierdzi że człowiek może żyć.. 200 lat.

Francuski lekarz, założyciel kilku miast — ogrodów p. Georges Knap, twierdzi, że rozwiązał zagadnienie faustowskie pozostawania młodym do najpóźniejszego wieku.

Powierzchowność dr. Knappa zdaje się być istotnie najlepszą dla niego rekomendacją w tym względzie. Pomimo swych lat 62 wygląda na lat 40 zaledwie przyczem zapewnia, że nie czuje nawet 30. Utrzymuje że gdyby ludzie, doszedłszy do 50-ki dbali o odnowienie swoich zamierających tkanek, zamiast dalszego zatruwania organizmu nadużywaniem mięsa, tytoniu i alkoholu, mogliby żyć do 200-u lat, zachowując do końca zupełną sprawność umysłową i fizyczną.

System wynalazcy polega na niedopuszczaniu, zaczynając od 50-go roku życia, do zamierania tkanek a to przez odpowiednią dietę — przeważnie jarską oraz ćwiczenia gimnastyczne i przebywanie na świeżem powietrzu, a także na stosowaniu pewnego środka (trzymanego przez wynalazcę w tajemnicy), wywołującego reprodukcję nowych komórek w ciele ludzkiem, jak to ma miejsce w dziecięctwie i we wczesnej młodości.



Walne zgromadzenie Ł. Z. O. P. N.

nie poparło ligi, natomiast wypowiedziało się za zmianą dotychczasowego systemu rozgrywek o mistrzostwo.

Łódź, 8 lutego.

Naznaczony na dzień wczorajszy dalszy ciąg obrad walnego zgromadzenia Ł.Z.O.P.N. odbył się w ściśle oznaczonym terminie w lokalu kl. Turystów.

Śmiało rzec można, że tym razem zgromadzenie jakkolwiek trwające przeszło 8 godzin, przeszło niemal zupełnie spokojnie.

Działo się to może dlatego, że delegaci nauczeni smutnym doświadczeniem z ubiegłego tygodnia nie wałkowali zbytnio spraw mniej ważnych, nadając obradom ton poważny.

Dużo czasu pochłonęła sprawa statutu „Funduszu ubezpieczenia graczy", przyczem polemika toczyła się głównie między Ł.K.S. a ustępującym zarządem.

Uchwalono między innemi na wniosek zarządu urządzić w r. b. „dzień Funduszu ubezpieczenia graczy" na rzecz kasy Funduszu.

Po zatwierdzeniu przez zgromadzenie statutu zarządzono przerwę, podczas której specjalnie obrana komisja sporządziła listę kandydatów do przyszłych władz piłkarskich w Łodzi.

Prezesem zarządu Ł.Z.O.P.N. wybrany został przez aklamację kpt. Zabłocki, piastujący godność tę od trzech lat.

Dłuższą polemikę chwilami „jałową" i śmieszną wywołała sprawa wyboru I i II wiceprezesa. Mimo, że kandydaci podani przez komisję jaknajkategoryczniej odmówili przyjęcia mandatów, zarządzono głosowanie zgoła niepotrzebne, bo dwaj obecni z pośród trzech kandydatów t. zn. pp. Malinowski i Rode mandatów nie przyjęli. Dotknięci formą obradowania i nastrojem, nieprzyjmowania mandatów, delegaci Ł.K.S.-u wycofują kandydata swego p. Krachulca. Chcąc jednak uniknąć przeciągania sprawy, prezes Ł.K.S. zgadza się na ponowne wystawienie kandydatury p. Krachulca, który wybrany zostaje przez aklamację. Drugim wiceprezesem obrany został przez aklamację por. Libert.

P. Piątkowski, długoletni sekretarz Ł.Z.O.P.N. obrany zostaje również przez aklamację.

Skarbnikiem został dotychczasowy skarbnik zarządu. Kolegjum sędziów p. Dancygier, wybrany 460 głosami.

Na przewodniczącego wydziału gier i dyscypliny wybrany zostaje przez aklamację p. Skibicki, zaś na kapitana związkowego prezes Ł.K.S.-u p. Konopka.

Do zarządu w charakterze członków wybrani zostali pp. Rębowski, Głażewski, mec. Weicman i Pawlak.

Członkami wydziału gier i dyscypliny zostali pp.: Michalski, Ullrich, Szulzinger, Rębalski, Krampf, Surowiecki, Hertel i Benke Oskar.

Komisja rewizyjna obrana została w składzie: Lindner Taubwurcel i Oskar Dressler jr.

Sprawę siedziby P.Z.P.N. referował kpt. Zabłocki, który wyjaśnia zgromadzeniu, że pożądanem byłoby, ażeby najwyższa magistratura piłkarska pozostała nadal w Krakowie. Wniosek zarządu zostaje jednogłośnie przyjęty.

Szeroką dyskusję wywołała sprawa „Ligi piłkarskiej".

Po dokładnym zreferowaniu sprawy przez prezesa Konopkę, który w treściwym przemówieniu zapoznał zgromadzenie z faktycznym stanem rzeczy prezes Ł.Z.O.P.N. kpt. Zabłocki cofa początkowy wniosek zarządu i rozpoczyna się teraz dłuższa polemika pp. Konopki z dyr. Skibickim contra kp.t Zabłocki i Malinowski.

Naogół jedni, jak i drudzy zgadzali się co do jednego, że system rozgrywek musi ulec zmianie, jednakowoż „kontrligowcy" pragnęliby to ujrzeć nie w formie przewidzianej przez projektodawców ligi.

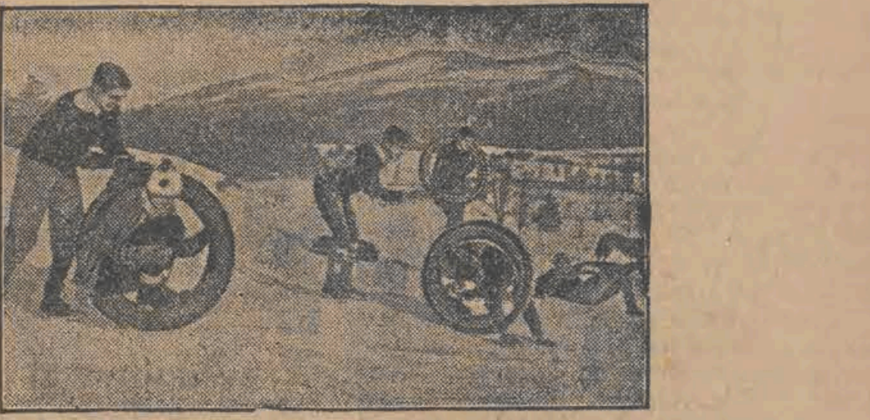
Wreszcie stawia p. Malinowski następujący wniosek, który zebranie większością głosów uchwala: „Uznając potrzebę zmodyfikowania istniejącego systemu rozgrywek mistrzowskich, walne zgromadzenie stwierdza, że 1) inicjatorzy ligi postąpili wbrew statutowi P.Z.P.N.-u i przekroczyli ramy organizacyjne związku przez chęć stworzenia grupy uprzywilejowanej burżuazji piłkarskiej (sic!). Liga poza obniżeniem ogólnego poziomu piłkarstwa polskiego żadnych realnych wartości twórczych do życia piłkarskiego w Polsce nie wnosi. Z tych względów walne zgromadzenie poleca swym przedstawicielom na walnem zgromadzeniu jaknajaktywniej wystąpić przeciwko tworzącej się lidze".

Jako delegaci wybrani zostali pp. kpt. Zabłocki, Konopka i Malinowski.

Wreszcie przewodniczący zamyka zebranie.

Stef.

„Looping the loop" w śniegu.



W Ameryce spopularyzował się ostatnio oryginalny sport: staczanie się po śniegu w oponie gumowej z pagórków.

Wspaniałe sukcesy H. K. S. (Łódź) w Poznaniu

Łodzianie udowodnili, iż słusznie Łódź zaliczona jest do najlepszych drużyn w Polsce, w grze w siatkówkę i koszykówkę.

Łódź, 8 lutego.

Ostatnio Harcerski klub sportowy (Łódź) rozegrał w ciągu dwóch dni szereg spotkań towarzyskich w siatkówkę i koszykówkę w Poznaniu. Przeciwnikami łodzian były najlepsze poznańskie zespoły Skład H.K.S. był następujący: Kędzyński, Pegza, Starosta, Ziołek, Kosek, Naki oraz pp.: Zarobkiewicz i Cichoń jako przedstawiciele H.K.S.

Wyniki z poszczególnemi zespołami przedstawiają się: piłka siatkowa I dnia mistrz Poznania gimn. Marcinkowskiego — H.K.S. (Łódź) 11:30 dla łodzian. Piłka koszykowa: Centralna szkoła gimnastyki i sportów (Poznań) — H.K.S. (Łódź) 21:31 dla H.K.S. Drugiego dnia H.K.S. spotkał się w siatkówkę z wyższa szkołą handlową, wygrywając w stosunku 18:30 oraz w piłkę koszykową z tą samą drużyną, bijąc ją 20:31.

Łodzianie swą piękną grą wzbudzili wśród publiczności poznańskiej podziw to też za każdym wbitym „szczupakiem" lub „koszem" oklasków nie szczędzono. Swemi zwycięstwami H.K.S. wykazał, iż jest bezsprzecznie jednym z lepszych zespołów Łodzi; błyskawiczna kombinacja, ostre „szczupaki", pewność strzałów do kosza stawiają drużynę tę na pierwszym miejscu w walce o mistrzostwo Łodzi.

Łodzian witali przedstawiciele tamtejszego społeczeństwa sportowego, wręczając im jednocześnie piękny proporczyk.

W najbliższym czasie H.K.S. rozegra szereg spotkań w Warszawie i liczyć należy, że znów nie zawiedzie.

T. G. „Sokół" — promowane do kl. „B."

Łódź, 8 lutego.

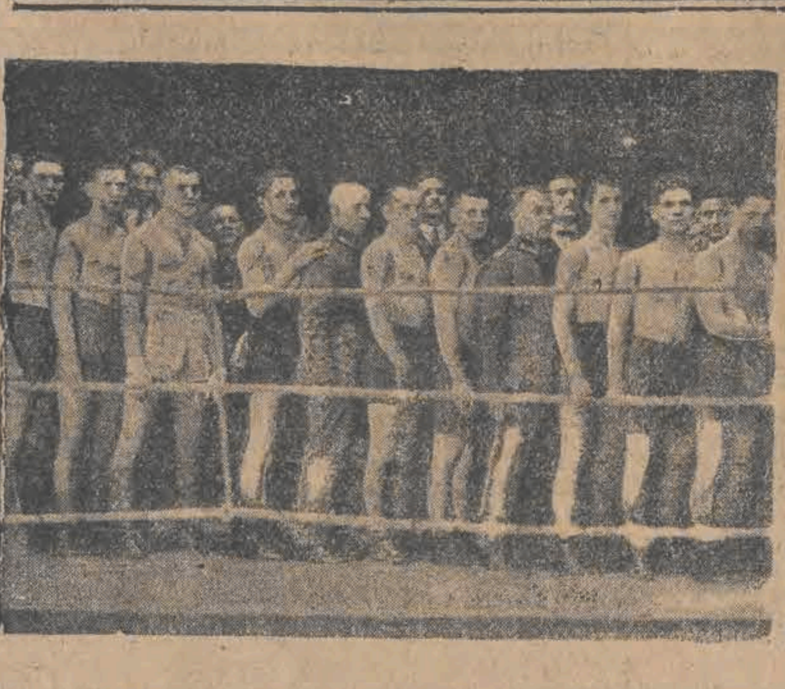
Wobec zlikwidowania sekcji piłki nożnej w Zgierskim stowarzyszeniu gimnastyczno-sportowem klasa B piłkarstwa łódzkiego została osłabiona o jeden klub. Jak wiadomo w klasie tej znajdowało się 10 klubów.

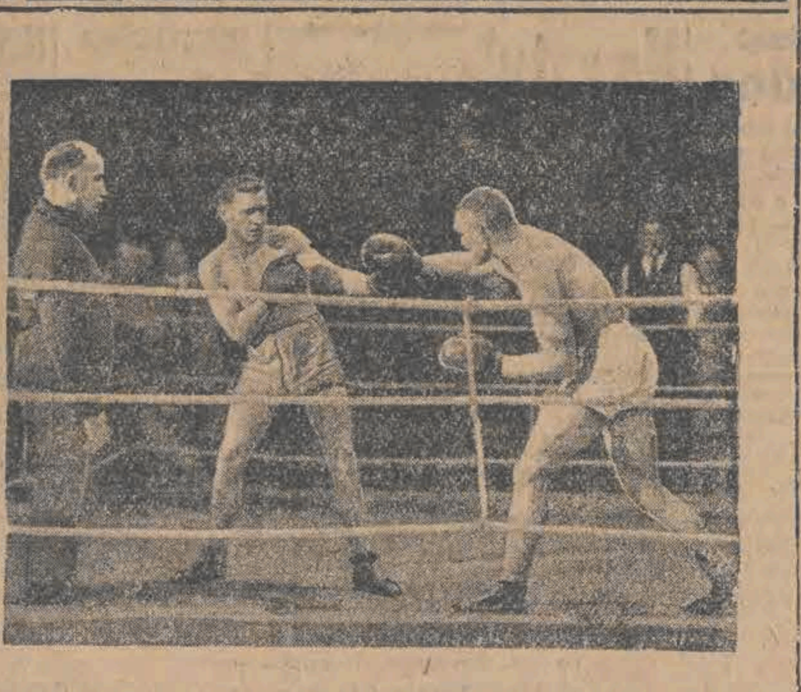
Onegdajsze walne zgromadzenie Ł.Z.O.P.N. postanowiło na prośbę T.G. Sokół (Zgierz) promować sekcje piłki nożnej tego towarzystwa do klasy B., na miejsce Zg. T. G.S. Nadmienić należy, że identyczną prośbę złożyło Stow. im. Słowackiego, lecz wskutek przyznania pierwszeństwa Sokołowi, prośba ta została odrzucona.

Robotnicze zawody bokserskie

o mistrzostwo Warszawy.

W Warszawie odbyły się zawody bokserskie o mistrzostwo robotnicze stolicy. Ogółem odbyło się 6 spotkań, a mianowicie: waga kogucia: Radzikowski (Skra) pokonał Kapuścińskiego (Czerwoni), waga piórkowa: Hablera (Skra) pobił na punkty Zylbertresta (Gwiazda), waga lekka: Gross (Skra) pobił na punkty Rotmana (Gwiazda). Głowacki (Skra) bije n punkty Andersena (Gwiazda) po 4 rundach. Tytuł mistrza Warszawy przypadł Głowackiemu wobec zrzeczenia się Grossa. Sędziował na ringu p Strzeszewski.





Niedawno sekcja bokserska „Cracovii" urządziła zawody bokserskie z udziałem bokserów krakowskich, łódzkich i górnośląskich. Pierwszą nagrodę zdobył łodzianin Stibbe (pierwszy na prawo). Na lewo —grupa współzawodników.

Dziesięciobój drużynowy

jako przygotowanie olimpijskie.

Znany trener lekko atletyczny szwed Thorwald Norling zamierza ofiarować wielką nagrodę wędrowną na drużynowy dziesięciobój lekko - atletyczny, mając na celu przygotowanie przedolimpijskie.

Dziesięciobój ten odbyłby się ogółem 5 razy z tego 3 razy w roku 1927 a 2 razy na wiosnę roku 1928. Każdy okręg powinien zorganizować taki dziesięciobój drużynowy dla swych zawodników. O zwycięstwie zadecyduje większa ilość punktów w-g punktacji olimpijskiej dziesięcioboju.

Po 5 latach na widok szkieletu

ojciec przyznał się do zamordowania 6-letniego synka.

Pośrednią przyczyną zbrodni była druga żona.

Zupełnie przypadkowo zdemaskowano w majątku Dziki na Pomorzu sprawcę ohydnej zbrodni. Kopiąc żwir, robotnicy znaleźli szkielet dziecka w wieku 6—7 lat. O fakcie zawiadomiono policję.

Na miejsce zjechała niebawem komisja śledcza, która ustaliła, że dziecko poniosło śmierć od strasznego ciosu w głowę. Strzaskany tył czaszki jasno stwierdzał opinję komisji — zwłoki leżały w ziemi około 5 lat.

Policja wszczęła natychmiast energiczne dochodzenie i ustaliła, że zamordowanym jest zapewne syn robotnika Mroza z Wilczych-błot. Wszyscy przypomnieli sobie bowiem, że robotnik ten zawiadomił w swoim czasie policję o tajemniczem zniknięciu syna. Sprowadzono Mroza natychmiast na miejsce, gdzie znaleziono tragiczny ślad zbrodni.

Na widok szkieletu robotnik zbladł jak płótno i runął zemdlony na ziemię. Skoro przyprowadzono go do przytomności, ku przerażeniu wszystkich oświadczył, że on to zamordował syna.

Wyjaśnił przytem, że pośrednią przyczyną zbrodni była jego druga żona, która nienawidziła dziecka z pierwszego małżeństwa. Mróz przeżywał z tego powodu w domu piekło na ziemi. Ażeby wreszcie położyć kres ciągłym kłótniom, wyprowadził chłopca w pole i jednym ciosem topora zadał mu śmierć. Trupa zakopał w głębokim dole w żwirze. Po powrocie do domu powiedział żonie, że chłopca wysłał do krewnych. Jednocześnie zawiadomił policję, że syn mu zginął.

W ciągu 5 lat ojciec, który zamordował syna, przeżywał straszne cierpienia.

Wizja zamordowanego prześladowała go nieustannie. Szybko posiwiał i zniedołężniał przedwcześnie. Widok kościotrupa zmiażdżył go doszczętnie. Po pięciu latach, nad grobem swego syna, ojciec morderca przyznał się do zbrodni.

Grypa przeszła do Prus Wschodnich.

W Tylży wszystkie szkoły zamknięte.

Królewiec, 8 lutego.

W Prusach Wschodnich rozpowszechnia się w gwałtowny sposób epidemja hiszpanki. W Tylży władze szkolne zamknęły wszystkie szkoły. Również z innych miejscowości Niemiec donoszą o grasującej hiszpance. M. in. jednemu z gospodarzy pod Kolonją w ciągu 14 dni, z 5 dzieci chorych na hiszpankę, zmarło 4.

Mundur—czy śmiertelna koszula?

Trzy dni trwał zatarg o ceremonjał pogrzebowy.

Zwłoki lekarza 26-go pułku ułanów spoczęły w metalowej trumnie.

W Baranowiczach zmarł dnia 31-go grudnia ub. r. naczelny lekarz 26 pułku ułanów 33-letni dr. Leon Rozensztajn.

Pogrzebem zajęły się władze wojskowe. Sztab pułku, rezydujący w Horodzieju, zdecydował się na wysłanie zwłok do Nowego Dworu, miejsca urodzenia zmarłego.

Stosownie do przepisów sanitarnych, zakupiono dwie trumny: drewnianą i metalową. Ta ostatnia, po umieszczeniu w niej drewnianej, została opieczętowana w obecności świadków, którzy podpisali protokuł.

Po przywiezieniu zwłok do Nowego Dworu, z miejscowego garnizonu wyznaczono pluton honorowy.

Kondukt żałobny ruszył w kierunku cmentarza żydowskiego, lecz dotarł jedynie do bramy, bowiem rodzina zmarłego nie zgodziła się na pogrzeb.

— Mój syn musi być pochowany w śmiertelnej koszuli — oświadczyła matka.

Pozatem rabin zwrócił uwagę, że zwłoki nie były poddane rytualnemu obrzędowi „tharah" i zażądał otwarcia trumien.

Na ten argument odpowiedziała policja innym argumentem. Zapieczętowanej przed wysłaniem koleją trumny nie wolno otwierać bez specjalnego pozwolenia władz sanitarnych.

Pogrzeb wstrzymano. Zatarg trwał od czwartku do wczorajszego wieczora.

Ostatecznie rodzina nie znajdując wyjścia z sytuacji, wyraziła swą zgodę.

Dr. Leon Rozensztajn został pochowany bez obrzędów rytualnych — w mundurze oficera.

Handel tronami w rodzinie Habsburgów.

Wiedeń, 8 lutego.

W kołach zbliżonych do monarchistów oczekują ważnych rozstrzygnięć w sprawie realizacji pretensji domu Habsburgów do korony węgierskiej.

Zwolennicy ex-cesarzowej Zyty wywierają nacisk, aby arcyksiążę Karol nie rezygnował z pretensji do korony węgierskiej na rzecz drugiego brata arcyksięcia Albrechta.

Prenumerata: W Łodzi zł. 4.00 miesiecznie.—Zamiejscowa 5 zł. miesięcznie.—Zagranica 7 złotych miesięcznie.— Odnoszenie do domów 40 groszy

Ogłoszenia: ZWYCZAJNE: 8 gr za wiersz milimetrowy (na stronie 10 szpalt) W TEKŚCIE 40 groszy za wiersz milimetrowy (na stronie 4 szpalty) Zaręczynowe i zaślubin w tekście 10 zł Zamiejscowe o 50 proc Zagr. o 100 proc drożej Za terminowy druk ogłoszeń administr. nie odpowiada. Drobne 10 gr. Poszuk. pracy 5 gr. Najmn. 50 gr.

Redakcja i Administracja, Piotrkowska 49.
Telefony redakcji 27-24, 36-43, 36-44
Telefon administracji 22-14 — — — —

Godziny przyjęć redakcji 6—7 po poł Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. — — —

Ogłoszenia kolorowe (minimalna wielkość ćwierć strony) 100 procent drożej

Za wydawnictwo „Republika" Sp. z ogr. odp. Władysław Polak. W drukarni „Republiki" Łódź, Piotrkowska 49 i 15. Redaktor odpow. Józef Burman.